

GŁOSY Z ODDALI



Napisał Rafał A. Ziemkiewicz

Ilustrował: Przemysław Woźniak

– Panie Kingsay, klient do pana.
– Wpuść – Kingsay odruchowo poprawił się w fotelu.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich niewysoki, lekko łysiejący mężczyzna około sześćdziesiątki. Ubrany był niechlujnie, co drugi guzik u przepoconej koszuli miał oberwany, spodnie poplamione. Wyglądał, jakby się nie golił ani nie mył głowy od dobrych kilku tygodni.

– Proszę – Kingsay niechętnie pokazał mu krzesło naprzeciw biurka. Facet nie wyglądał zbyt interesująco. „Prawdopodobnie – pomyślał Kingsay, jakiś spór z sąsiadami”. Tego typu zlecenia otrzymywał najczęściej – spory z sąsiadami i śledzenie żon różnych zazdrosnych idiotów.

– Nazywam się John Marlin – powiedział klient, siadając – Słyszałem o panu jako o najlepszym prywatnym detektywie w Sydney. Sprawa, którą chcę panu zlecić, jest dla mnie niezmiernie ważna, ale będzie wymagać od pana dużo zachodu. Dlatego chciałbym, żeby na czas jej prowadzenia zrezygnował pan ze wszystkich innych powierzonych panu spraw.

Mówił twardo, tonem człowieka nawykłego do rozkazywania. Jednocześnie sięgnął do kieszeni po portfel i położył przed Kingsayem tysiąc dolarowy banknot.

– Oto zaliczka – powiedział.

Kingsay przyglądał mu się przez chwilę, po czym nachylił się nad biurkiem, naciskając czerwony tester.

– Dziękuję Betty, możesz już iść do domu. Powieś na drzwiach tabliczkę „Biuro zamknięte”.

– Nie prowadzę w tej chwili żadnej sprawy – powiedział, sadowiac się wygodnie w fotelu. – Słucham pana.

– Szukam syna – Marlin pochylił się lekko. – Niewykluczone, że znajduje się właśnie w Sydney. Nie mogę jednak sam prowadzić poszukiwań...

– Oczywiście. Rozumiem.

Marlin podał mu fotografię przedstawiającą piętnasto-szesnastoletniego chłopaka o jasnych włosach i pociągłej twarzy.

– Tak wyglądał, gdy miał szesnaście lat.

– Ile ma teraz?

– Akurat tyle samo. Ale proszę się za bardzo nie sugerować wyglądem. Może teraz wyglądać tak, jak na tym zdjęciu, czasem się to zdarza, ale to mało prawdopodobne...

– Pewnych cech wyglądu nie da się zmienić – zauważył machinalnie Kingsay, niezbyt rozumiejąc słowa Marlina. – Kąt twarzowy...

– W tym wypadku tak – przerwał mu Marlin. – Możliwe, że jest on teraz nawet Murzynem, chociaż brzydzę się na samą myśl o tym.

Kingsay odłożył zdjęcie i spojrzał zdziwiony na swego klienta.

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć wszystko co wiąże się z tą sprawą.

– To bardzo nietypowa sprawa... Ale zacznę od początku. Mieszkam w Alabamie, tam też urodził się mi jedyny syn, Jim. Żona zginęła w wypadku samochodowym, gdy Jim miał trzy lata. Od tego czasu wychowywałem go sam. Ponieważ jestem człowiekiem bogatym, starałem się mu zapewnić jak najlepsze warunki. Chodził do najlepszych szkół, miał zawsze wszystko, czego chciał. W sumie był dobrym dzieckiem. Wszystko układało się jak najlepiej do momentu, kiedy na początku 1966 roku dostał powołanie do wojska – Marlin umilkł na

chwile, przypalając papierosa. – Mogłem go wyreklamować od służby, ale nie chciałem. Uważałem wtedy, że to jego obowiązek. Poza tym byłem dumny, że daję ojczyźnie obrońcę. Jim nie chciał lecieć do Wietnamu, o mało nie przystał do hippisów... Ale przekonałem go. Pięć miesięcy potem otrzymałem zawiadomienie, że Jim zginął w czasie lotu bojowego, 26 lipca 1966 r., niech pan dobrze zapamięta tę datę. Wkrótce potem przystali jego potwornie zmasakrowane zwłoki.

– I co dalej? – spytał Kingsay po dłuższym milczeniu.

– Pochowałem go obok matki. Przez długi czas byłem załamany. Dopiero z rok po śmierci Jima zetknąłem się z wyznawcami „Światła Życia”. Od nich dowiedziałem się, że mój syn żyje gdzieś nadal, i postanowiłem go odzyskać.

– Chwileczkę. Nie bardzo rozumiem. Zwłoki, które przysłano z Wietnamu nie były zwłokami pańskiego syna?

– Nie, to z pewnością był Jim. W pańskim rozumieniu tego słowa Jim umarł, ale była to śmierć jego ciała – Marlin pochylił się w kierunku detektywa. – Od szesnastu lat jestem gorliwym wyznawcą „Światła Życia”. Dzięki temu dowiedziałem się, że człowiek, który ginie młodo, nagle śmiercią, nie umiera definitywnie. Jego dusza wciela się w następane ciało i żyje nadal, nie pamiętając swego poprzedniego wcielenia; nie traci jednak pamięci zupełnie, przechowuje ją nadal podświadomość. Kiedy taki człowiek znajduje swoje stare otoczenie, zaczyna sobie powoli przypominać swe poprzednie życie. Jak obudzony z głębokiego snu. Znam kilku ludzi, którzy kiedyś zginęli i po latach zostali odnalezieni przez swych dawnych bliskich. Tego samego dnia, kiedy Jim poległ, narodził się gdzieś na nowo, dokładnie w tej samej godzinie.

– Ach, tak. Zdaje się, że rozumiem o co panu chodzi.

– Widzę, że nie przekonałem pana. Trudno. Może mnie pan uważać za szaleńca, ale płacę panu i chcę, aby pan go odszukał, albo upewnił się, że nie ma go w Sydney. Musi pan sprawdzić wszystkich chłopców, urodzonych 26 lipca 1966 roku. Jeżeli któryś z nich jest Jimem, na pewno zareaguje na to, co jest związane z jego poprzednim życiem. Ale chcę, żeby pan zajął się tą sprawą naprawdę poważnie.

– Panie Marlin. To jest mój zawód. Przyjmuję pieniądze, więc zgodnie z etyką tego zawodu zrobię wszystko, co w mojej mocy, choć uważam, że niepotrzebnie traci pan czas i pieniądze.

– To moja sprawa.

– Tak właśnie uważam. Dołożę starań, aby zakończyć tę sprawę sukcesem. Ale chciałbym pana o jeszcze jedno zapytać: zakładając, że jest tak, jak pan mówi, czy zdaje pan sobie sprawę, jak małe są szanse znalezienia... tego chłopca?

– Wiem. Szukam już piętnaście lat po całym świecie. I będę szukał, dopóki starczy mi sił i pieniędzy. Wierzę, że go odnajdę, panie Kingsay.

★ ★ ★

„To niemożliwe” – pomyślał Kingsay, porównując po raz nie wiadomo który obie fotografie. „To musi być zbieg okoliczności”.

Przed nim leżała na biurku odbitka karty z kartoteki imigrantów, w jej pierwszym górnym rogu przyklejone było zdjęcie kilkunastoletniego, jasnowłosego chłopca o pociągłej twarzy. Obok położył fotografię, otrzymaną od Marlina. Im dłużej je porównywał, tym bardziej był przekonany, że przedstawiają tę samą osobę. Odsunął zdjęcia od siebie i wyprostował się, zapalając papierosa. Osiem dni, które minęły od czasu przyjęcia dziwnego zlecenia, Kingsay spędził pracowicie. Mimo, iż ani odrobinię nie wierzył w sens całej tej roboty,

przekopał wszystkie dostępne i niedostępne spisy ewidencyjne mieszkańców miasta. Odnalazł pięćdziesięciu dwóch obywateli płci męskiej, urodzonych 26 lipca 1966 roku. Ten, którego zdjęcie było niemal identyczne jak zdjęcie Jima Marlina, nazywał się Philip Saitescu i przybył do Sydney przed trzema laty, wraz z rodziną emigrantów z Europy.

Kingsay podszedł do telefonu. Wystukał kierunkowy do Stanów Zjednoczonych, poczekał na sygnał i zaczął wybierać numer Marlina. Po trzech pierwszych cyfrach odłożył jednak słuchawkę. Nie. Jeszcze nie. W głębi ducha nadal był przekonany, że to tylko przypadek. Musiał się najpierw upewnić. Znowu podszedł do biurka, pociągnął tęgi łyk zimnej już kawy i zaczął dokładnie studiować historię rodziców Philipa. Potem połączył się telefonicznie z agencją detektywistyczną w Londynie (ostatnie miejsce ich zamieszkania) i zażądał przysłania w tempie ekspresowym wszystkich dostępnych wiadomości o Bobie i Helenie Saitescu.

★ ★ ★

Gong u drzwi wejściowych zadzwieczał trzykrotnie. Chwila ciszy – i znowu. Ding, ding – dong. Helena Saitescu wyszła z kuchni, obcierając w pośpiechu ręce o skraj fartucha. Otworzyła. Na schodkach przed domem stał szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki, opierając się na kuli. Ubrany był w nieco podniszczone spodnie i kurtkę koloru khaki. Przy jego prawej nodze stała walizka.

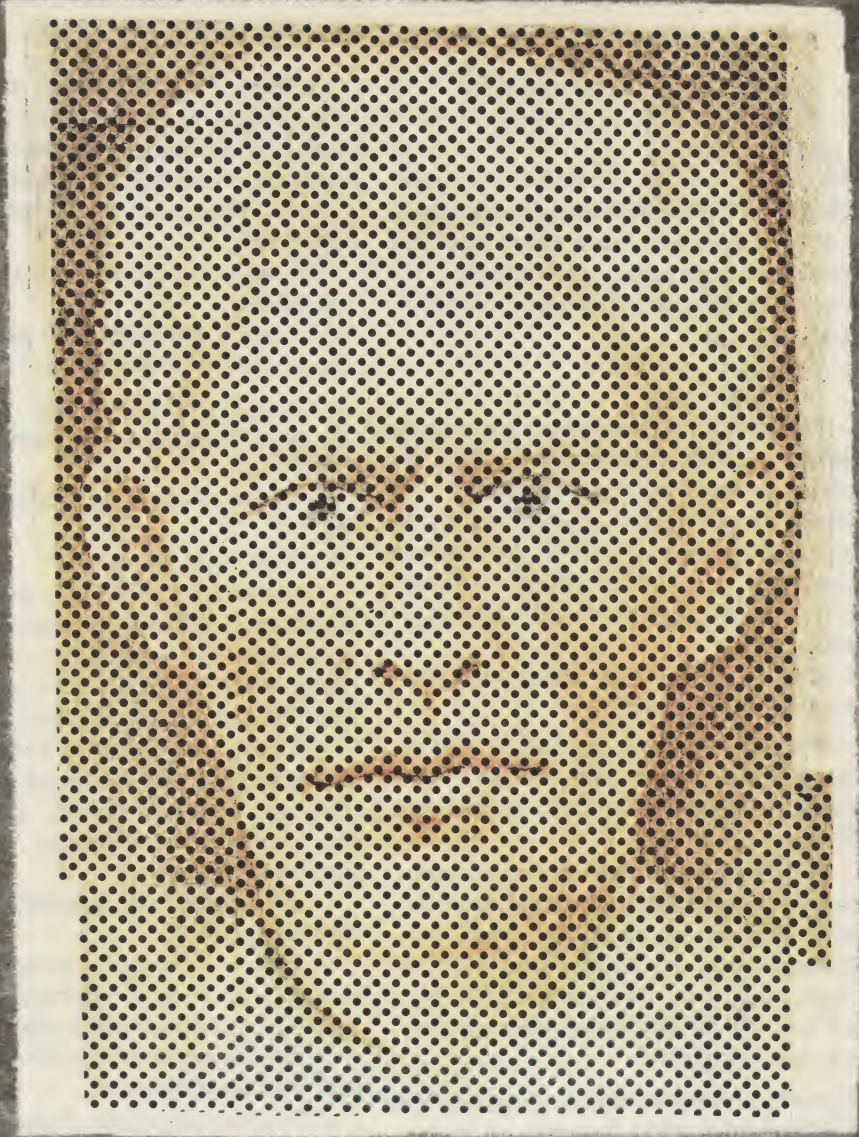
– Dzień dobry – powiedział. – Czy tu mieszkają państwo Saitescu?

– Tak. Słucham pana.

– Nazywam się George Rosthern. Czy zastałem pana Saitescu?

– Tak... proszę, niech pan wejdzie. Bob, ktoś do ciebie! – krzyknęła.

– O ile się nie mylę, mam przyjemność rozmawiać z panią Heleną?



- Tak, ale... Skąd pan nas zna?

- Słyszałem wiele dobrego o pani i o pani mężu...

Na drewnianych schodkach, wiodących na górę pojawił się otyły mężczyzna w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami. Jego łysinę pokrywały krople potu. Spojrzał badawczo na gościa, potem na żonę.

- Ten pan... do ciebie.

- Słucham pana.

- Dzień dobry. Nazywam się George Rosthern. Dostałem pański adres od brata, prosił aby pana odwiedzić.

Przez chwilę trwało milczenie. Kingsay przeraził się na moment, że agencja z Londynu podała mu jakieś złe informacje, i wtedy nagle Bob uniósł ze zdziwienia brwi.

- Rosthern? Pan jest bratem sierzanta Chicka Rostherna?

- Porucznika Rostherna. Tak, Chick dużo o panu opowiadał, prosił, żeby koniecznie pana odwiedzić, jeśli będę w Sydney.

- Proszę, proszę bardzo - Saitescu pomógł Kingsayowi zdjąć kurtkę i delikatnie ujmując go za ramię, poprowadził do salonu - Heleno, przyszykuj coś do jedzenia, pan pewnie jest głodny. I daj koniak. Albo zaraz, sam wezmę, niech pan spocznie.

Kingsay rozejrzał się po salonie. Nie był urządzone zbyt bogato, ot tak - przeciętnie. Gustownie, ale bez przepychu. Proste, funkcjonalne meble, świeże kwiaty w wazonach.

Gospodarz wrócił po chwili, niosąc butelkę koniaku i kieliszki.

- No tak, jak mogłem nie poznać. Jest pan bardzo podobny do Chicka. Boże, ile lat ja go już nie widziałem... Chyba ze dwadzieścia... co tam u niego słysząc?

- Niestety, Chick już nie żyje - Kingsay opuścił głowę - Umarł pół roku temu. Rak.

- Umarł... - Saitescu zamyślił się - Mój Boże, wykruszamy się powoli.

- Mówił o panu dużo przed śmiercią... kazał mi przyrzec, że pana odwiedzę. Sam szukał, dowiedział się tylko, że mieszka pan teraz w Sydney, nawet odnalazł adres, ale nie zdążył już pana odwiedzić.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe.

- Cześć! Kiedy obiad? Mogę iść jeszcze pograć w koszykówkę?

Kingsay odwrócił się nieznacznie. W przedpokoju stał jasnowłosy chłopiec.

- Philip - krzyknął Saitescu - chodź tu!

- Tak, tato. Zaraz!

- To mój syn, Philip - powiedział do Kingsaya. - Philip, pamiętasz, jak opowiadałem ci o sierzancie Rosthernie, który wyniósł mnie w Normandii spod kul? To jest jego brat, pan George.

- Cześć - powiedział Philip, podając Kingsayowi rękę. Spojrzał na niego i na moment znieruchomiał, przypatrując się prostokątnej blaszce wiszącej na piersi detektywa.

- Widziałeś to gdzieś? - zapytał Kingsay.

- Nie... - chłopiec powoli podniósł wzrok - to znaczy zdawało mi się, ale nie, nie przypominam sobie.

- A co to właściwie jest? - zainteresował się stary Saitescu.

- Nic szczególnego. Pamiątka.

Kingsay umoczył wargi w koniaku. To był wojskowy nieśmiertelnik, taki, jakie nosili Amerykanie w Wietnamie. To musiał być Jim Marlin.

★ ★ ★

- To już tu, Philip.

- Niech pan powie - rzekł chłopak, gdy stanęli przed furtką Willi Edwardsa - kim pan właściwie jest? Bo staremu to pan wcisnął jakiś kit?

- Tak. Wcisnąłem kit - Kingsay nacisnął przycisk dzwonka. - Całe życie



spędziłem w Sydney, ale przed twoim starym musiałem trochę poudawać. Szukałem ciebie.

– No, to już wiem, ale po co? – furtka otworzyła się.

– To trudna sprawa, Philip. Wytłumaczę później, dobra?

– Niech będzie. Ale pan tajemniczy.

– Cześć. Wchodźcie, wszystko gotowe – przywitał ich Edwards. Weszli do pokoju. Kingsay pokazał Philipowi uniesiony w górę kciuk. Ten odpowiedział tym samym. Cała ta zabawa najwyraźniej zaciekała chłopca.

Detektyw odszedł na bok i zapalił papierosa. Teraz cała robota należała do Edwardsa.

– Zgaś to – syknął Edwards, wyłączając światło. – Albo wyjdź z pokoju. I tak nie jesteś potrzebny.

Kingsay stanął w przedpokoju, słuchając monotonnego głosu Edwardsa: „stajesz się ciężki, bardzo ciężki... nie masz siły się poruszać... powieki ci opadają... jesteś senny, bardzo senny...”

Po paru minutach Edwards wychylił się z pokoju i skinął na Kingsaya.

Philip leżał nieruchomo na tapczanie. Oczy miał otwarte. Oddychał równo.

Edwards włączył magnetofon ustawiony na zapis, i drugi, z którego popłynął warkot helikopterowego silnika i dalekie odgłosy strzałów.

– Jimie Marlin – powiedział Edwards – czy znasz ten przedmiot? – wsunął mu w dłoń wojskowy nieśmiertelnik. Philip przysunął go do oczu sztywnym, mechanicznym ruchem.

– To blacha – powiedział. – Nosiliśmy takie.

– Czy to twoja blacha?

– Nie, inny numer.

Z magnetofonu rozległa się głośna, długa seria cekaemu.

– Jim – Edwards pochylił się nad Philipem – Jest teraz dwudziesty szósty lipca. Dwudziesty szósty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Masz na głowie hełm. Jest bardzo

gorąco, spod hełmu płyną ci strużki potu. Cały mundur masz przepocony. Stoisz na lotnisku. Pamiętasz?

Cisza.

– Pamiętasz, Jim. Co teraz robisz?

– Wsiadamy do helikoptera... rozkaz – natychmiast startować. Karl coś pokazuje ręką...

Przez kilka minut Philip opisywał teren, nad którym leciał. Potem, gdy wleciał nad dżunglę, umilkł. Kingsay w napięciu przyglądał się wirującym szpulkom magnetofonu.

– Są! – krzyknął nagle Jim – widzę ich!

– Kogo?

– Wietnamców... całe mrowie...

– Mów co robisz.

– Repetuję karabin... Dug, taśma, odświń się! Strzelam! Uciekają, przewracają się. Dug! Następna! – Philip mówił coraz szybciej, urywanym głosem. Na czole zalśniły mu krople potu, ręce miał zaciśnięte w pięści. Kingsay zagryzł wargi.

– John, zniż, prawy trawers... uważaj oni! Boże! Nie!

– Co się stało?! Co się teraz stało?!

– Wirnik trafili czymś? Urwana łopata. O Boże! Nie, jak boli! Boże...

Ciało Philipa przeszył nagły wstrząs, wyprężył się i opadł bezwładnie. Po twarzy spływały mu wielkie krople potu. Oddychał ciężko.

– O kaju, Jim. W porządku, już w porządku. Jesteś spokojny. Licz teraz do dwudziestu. Kiedy powiesz „dwadzieścia” obudzisz się spokojny i wypoczęty. Licz.

– Raz... dwa...

Edwards wyłączył oba magnetofony. Podniósł się i odstąpił okna.

– W porządku, dziękuję – powiedział Kingsay, dając mu dwadzieścia dolarów.

– Polecam się na przyszłość.

– Za parę dni przyleci tu ten nadziały Amerykaniec, powtórzysz to przy nim.

- ... dwanaście...
 - A kiedy on się tu zjawi?
 - Może już jutro... Niesamowite...
wszystko się zgadza...
 - ... dziewiętnaście... dwadzieścia.
- Philip otworzył oczy.



Kingsay wracał od Edwardsa spokojnym, pewnym siebie krokiem, trzymając ręce w kieszeniach. Szedł zamyślony, najkrótszą drogą do domu. Wiodła ona przez plac, na którym regularnie co wtorek odbywały się targi starzyzną. Przepychał się przez tłum, wpatrzony w ziemię, zajęty swoimi myślami. Od czasu do czasu przystawał i rozglądał się czy dobrze idzie.

W pewnym momencie zatrzymał się przy jakimś staruszką, sprzedającym różne stare odznaki, głównie wojskowe – brytyjskie, amerykańskie, kanadyjskie, francuskie. Stało przy nim kilka osób. Kingsay, nie wiedząc sam, dlaczego to robi, również zbliżył się do kramiku. Jego uwagę przyciągnął kilkucentymetrowej wielkości emblemat, spatyniały i nadwerżony. Ostrożnie wziął go w rękę.

- Co to jest? – zapytał, czując falę gorąca, ogarniającą piersi. Za wszelką cenę usiłował sobie przypomnieć, skąd zna ten kształt.

- Wie pan... sam nie wiem. Ktoś sprzedał mi to jako pamiątkę z drugiej wojny światowej. Mówił co to za znak, ale zapomniałem.

Kingsay nadal oglądał trzymany w rękę emblemat. Wyglądał, jakby był wykonany ręcznie. Dziwny kształt, jakby litera „P” połączona u dołu z kotwicą.

Nie mógł sobie przypomnieć. Chciał już odłożyć kotwiczkę i iść. Nagle przyszło mu na myśl...

- Nie – powiedział do siebie – za dużo o tym myślałeś. Autosugestia – przy-

pomniał mu się Philip wpatrzony w blaskę identyfikacyjną na jego szyi. – Nie, idiotyzm.

- Co pan mówi? – zapytał handlarz.
- Ile pan za to chce?
- Czterdzieści centów.

Kingsay położył przed nim półdolarówkę i szybkim krokiem ruszył przed siebie. W mózg wwiercała mu się natrętna myśl: urodził się 2 sierpnia 1944 roku. W czasie drugiej wojny światowej. Tu, w Australii, daleko od frontu.

W domu zaczął nerwowo grzebać w encyklopediach i słownikach. Gdzieś na półce odnalazł zakurzone opracowanie historii drugiej wojny światowej...

Było już ciemno, kiedy oderwał wzrok od książek. Pozamykał je i ułożył na półce.

Potem przypomniało mu się, co miał zrobić. Sięgnął po telefon. Po dwóch minutach miał połączenie z Alabamą.

- Słucham, Marlin – odezwał się głos w słuchawce.

- Mówi detektyw Kingsay, z Sydney. Zrobiłem w pańskiej sprawie wszystko, co było możliwe. Niestety, nie znalazłem poszukiwanej przez pana osoby. Trzysta dolarów odliczam na pokrycie kosztów, resztę odeślę panu pocztą.

- Tak. Rozumiem – odrzekł po chwili Marlin.

- Jeżeli mogę... Oczywiście wiem, że nie jestem uprawniony do udzielania panu wskazówek, ale chciałbym panu coś poradzić.

- Słucham.

- Niech pan zaprzestanie poszukiwań. Myślałem nad tym długo. Nawet, jeżeliby go pan w końcu znalazł, to nie ma sensu.

Trzask. Marlin odłożył słuchawkę.

Kingsay stał chwilę przy aparacie. Spostrzegł, że w zaciśniętej, spoczonej pięści trzyma kotwiczkę. Otworzył dłoń i podniósł ją do oczu. Potem podszedł do gazowego kominka i wrzucił kawałek zaśniedziałego metalu w płomień.